

Socjalista na drodze do Białego Domu

3 lutego 2016

Dla lewicowych wyborców w Stanach Zjednoczonych jedną z najbardziej znaczących cech Berniego Sandersa jest droga jego politycznej kariery. Senator ze stanu Vermont i kandydat w prawyborach Partii Demokratycznej – do której zresztą sam nie należy – przed wyborami prezydenckimi mającymi się odbyć w listopadzie 2016 r. zaistniał w sferze publicznej w podobny sposób, jak wielu lewicowców z jego kraju: za pośrednictwem dogorywających organizacji egzystujących na marginesie amerykańskiego życia politycznego.

Urodził się w 1941 r. w Brooklynie w rodzinie żydowskich imigrantów z Polski. W czasach uniwersyteckich Bernie Sanders wstąpił do Ligi Młodych Socjalistów (Young People's Socialist League, YPSL), studenckiej sekcji Amerykańskiej Partii Socjalistycznej. W kolejnych latach, podczas gdy YPSL pogrążała się w coraz głębszych podziałach, zaangażował się w typową dla swojej epoki aktywność: walkę o prawa obywatelskie, przeciwko wojnie w Wietnamie itd. Później wstąpił do Partii Jedności i Wolności, niewielkiej formacji działającej w górzystym stanie Vermont, skąd kilkakrotnie starał się – bez powodzenia – o fotel senatora i gubernatora.

NIE JESTEM KAPITALISTYCZNYM ŻOŁNIERZEM

Pod koniec lat 1970. zrobił sobie urlop od polityki i zajął się projektami dotyczącymi edukacji. Kilka lat później, w 1979 r., przygotował dla wytwórni Folkway Records przemówienia pięciokrotnego kandydata Amerykańskiej Partii Socjalistycznej w wyborach prezydenckich Eugene'a V. Debsa. W ten sposób tchnął nowe życie w deklaracje takie jak „Nie jestem kapitalistycznym żołnierzem, jestem proletariackim rewolucjonistą” czy „Jestem przeciwny wszelkim wojnom, za

wyjątkiem jednej". To wyznanie wiary idące ostro pod prąd w kraju gotującym się do reaganowskiej kontrrewolucji.

Dwa lata później, ku ogólnemu zaskoczeniu, Bernie Sanders wygrał wybory na stanowisko burmistrza największego miasta Vermontu Burlington, a specjalne wydanie lokalnego tygodnika The Vermont Vanguard Press, sławiło ten zwrot, ogłaszając „ludową republikę Burlington”. Nowy burmistrz powiesił na ścianie swojego gabinetu portret Debsa. Wybierany jeszcze trzykrotnie na stanowisko burmistrza w 1990 r. podjął próbę i wszedł jako kandydat niezależny do Izby Reprezentantów. Zachował tę funkcję do 2006 r., gdy został wybrany senatorem stanu Vermont. Portret Debsa zdobi dziś jego biuro na waszyngtońskim Kapitolu.

Jako działacz niezależny, Sanders nie wahał się kandydować przeciwko Partii Demokratycznej. Jego wizja socjalizmu bliższa jest raczej ideom byłego szwedzkiego premiera Olofa Palmego (1982-1986) niż jego mentora, probolszewickiego Debsa. Lubi porównywać osiągnięcia szwedzkiego państwa opiekuńczego z nierównościami, które dzieli społeczeństwo amerykańskie, kładąc zawsze nacisk na biedę dzieci oraz brak skutecznych i dostępnych dla wszystkich ubezpieczeń zdrowotnych.

Pojawiający się w jego ustach termin „socjalizm” pozwala przywołać długą i bogatą historię obozu postępowego w Stanach Zjednoczonych, pomijaną milczeniem w oficjalnych wystąpieniach. W rzeczywistości linia polityczna realizowana przez Sandersa jako senatora Vermontu jest bardzo zbliżona do tej, jaką przyjęło lewe skrzydło Partii Demokratycznej. Jak głosił 22 maja 2005 r. Howard Dean, ówczesny szef komitetu narodowego Partii Demokratycznej, w programie „Meet the Press”, „to najzwyczajniej postępowy demokrat. W rzeczywistości w 98% przypadków Bernie Sanders głosuje po myśli demokratów”.

Jedyny niezależny członek Kongresu nie jest zatem zwolennikiem rewolucji, ani nawet radykałem w rodzaju Jeremy’ego Corbyna z

Wielkiej Brytanii [1]. Jego walka dotyczy redystrybucji bogactw, nie zaś ich własności czy kontroli nad nimi. W niedawnym przemówieniu przypomniał, że nie wierzy we „własność publiczną środków produkcji” [2]. Niemniej jednak jego postępową pozycję odcina się wyraźnie od probiznesowej Hillary Clinton.

REWOLUCJA ZAMIAST WALL STREET

Liderkę Partii Demokratycznej i jej socjalistycznego rywala dzieli właściwie wszystko. Nie chodzi tylko o styl, choć istotnie ostrożny język Clinton, której każde słowo wydaje się być dokładnie przemyślane przez jej doradców do spraw komunikacji, kontrastuje jaskrawo z pozbawioną ozdobników mową Sandersa. Nie chodzi również o przebytą drogę, nawet jeżeli w czasach, gdy Sanders walczył o prawa obywatelskie – czyli w 1964 r. – Clinton popierała ultrakonserwatywnego kandydata Republikanów Barry’ego Goldwatera. Fundamentalna różnica między nimi dotyczy samej istoty ich wizji politycznych. Hillary Clinton, która w 2003 r. głosowała na „tak” dla wojny w Iraku, przy każdej okazji przypomina, że będąc senatorką z Nowego Jorku, „reprezentowała Wall Street”. Jej konkurent, zagorzały działacz pacyfistyczny, wzywa do „rewolucji politycznej”, przez którą rozumie nie budowę społeczeństwa socjalistycznego, lecz zaangażowanie społeczeństwa w demokratyczne życie kraju, trochę na wzór „rewolucji obywatelskiej” przywoływanej we Francji przez Jeana-Luca Mélenchona.

Obserwatorzy są zaskoczeni faktem, że socjalista mógł zdobyć taką popularność w Ameryce XXI w. Istnienie osobistości politycznych zakorzenionych po lewej stronie sceny politycznej nie jest niczym dziwnym w Europie, jednak inaczej jest w Stanach Zjednoczonych, które nigdy nie miały masowej partii ludowej zdolnej dojść do władzy i wprowadzić szeroko zakrojony system redystrybucyjny. Jednak przez większą część XX w. wielu demokratycznych działaczy próbowało stworzyć zarys takiego systemu. Związki zawodowe robotników, organizacje walczące o

prawa obywatelskie, różnego rodzaju stowarzyszenia – siły społeczne, które zaangażowały się w ten projekt nie zniknęły. Jednakże w sytuacji, gdy nie mają najmniejszego wpływu na partię powołaną do obrony interesów kapitału, są wykluczone z debaty publicznej, najczęściej zresztą nie stawiając oporu. Podczas gdy dzieląca ich od partyjnych osobistości przepaść pogłębia się z każdym dniem, nie dziwi, że słowa Berniego Sandersa wzbudzają rosnące zainteresowanie.

Postawa ideologiczna Hillary Clinton opiera się w dużej mierze na tradycji „trzeciej drogi”, ustanowionej przez Nowych Demokratów. Ci ostatni powstałi pod koniec lat 80. ub. wieku pod auspicjami nieistniejącej już Rady Przywództwa Demokratycznego (Democratic Leadership Council, DLC). Stworzona przez nich platforma, mająca być odpowiedzią na triumfujący konserwizm ery reaganowskiej, przekonywała, że upadek ruchów społecznych wyznaczył kres polityki sprawiedliwości podatkowej i że trzeba się podpisać pod zasadą państwa skoncentrowanego raczej na wspieraniu przedsiębiorstw niż ochronie własnych obywateli, którym można sypnąć jedynie kilka symbolicznych okruchów.

Przez całe lata 1990. duet tworzony przez Billa Clintona i jego małżonkę przyczynił się w dużej mierze do sfinalizowania tego ideologicznego przepoczwarczenia. To nie Ronald Reagan lecz Bill Clinton ogłosił „koniec państwa opiekuńczego takiego, jakie znamy”. Ówczesna pierwsza dama – i adwokat – nie odmówiła swojego poparcia dla reform zainspirowanych przez Nowych Demokratów, jak choćby ustawie z 1996 r., która obcinała pomoc socjalną dla najuboższych [3]. Barack Obama mógł obiecywać zmiany, startując w prawyborach w 2008 r., jednak jego polityka prowadzona z Białego Domu nie odbiega od programu dawnej DLC, za wyjątkiem może niedokończonej reformy systemu ubezpieczeń zdrowotnych. Jego niewyczerpana woła kompromisu ze środowiskami interesów rozczarowała część jego demokratycznego zaplecza.

JAK POKONAĆ DOMINACJĘ KLASY MILIARDERÓW?

Wiele lewicowych ruchów próbowało w ostatnich latach podważyć linię prezydencką, zwłaszcza po kryzysie z 2008 r. Ruch Occupy Wall Street, strajk nauczycieli w Chicago, mobilizacja pracowników restauracji fast food, protesty uliczne przeciwko stosowanej przez policję przemocy, debata publiczna na temat nierównych dochodów – mniej komentowane przez media niż chętlive wystąpienia Tea Party czy majaczenia Donalda Trumpa, wszystkie te wybuchy społeczne wskazują na to, że amerykańska lewica, uznawana za dogorywającą, może być na najlepszej drodze do odrodzenia się.

Sam Bernie Sanders przedstawia swoje kandydowanie jako próbę skonsolidowania i zorganizowania tej rozproszonej lewicy, która stara się dojść do głosu: „Jeżeli startuję w wyborach, to po to, by przyczynić się do stworzenia koalicji, która mogłaby zwyciężyć, która mogłaby przekształcić politykę” [4].

Trudno przewidzieć długoterminowe efekty jego kampanii, jednakże 6 miesięcy po wejściu do gry wydaje się, że udało mu się trafić w czułą strunę swojego kraju. Na niektórych organizowanych przez niego spotkaniach pojawiają się dziesiątki tysięcy osób. Tracąc 10 punktów w Iowa, prowadzi w New Hampshire, gdzie odbędzie się druga runda prawyborów Partii Demokratycznej. Co jeszcze bardziej zaskakujące, kandydat-socjalista zdołał zgromadzić fundusze – warunek sine qua non by zaistnieć w amerykańskim życiu politycznym – zebrał już 41,5 mln dolarów u 681 tys. donatorów. Dokonany przez niego skok skłonił Hillary Clinton do pewnej zmiany własnej pozycji – np. w październiku ogłosiła swój sprzeciw wobec projektu wielkiego rynku transatlantyckiego (TTIP), który wcześniej popierała.

Przeszkody, które piętrzą się przed Bernim Sandersem są nadal niebagatelne, żeby nie powiedzieć nie do pokonania. W większości stanów tradycyjnie popierających Demokratów wyborcy uznają, że ma mniejsze szanse na zwycięstwo niż Hillary Clinton, nawet jeśli sondaże dają mu przewagę nad kandydatem republikańskim. Nie może zresztą liczyć na poparcie żadnego z

„superdelegatów”, najwyższych notabli, posłów czy byłych posłów, którzy stanowią 1/5 delegatów na konwencję Demokratów. Nawet najbardziej postępowe osobistości partii, jak Elizabeth Warren, Jesse Jackson czy Bill de Blasio powstrzymali się przed publicznym wyrażaniem poparcia.

Aby ubarwić dodatkowo ten obraz i dać wskazówkę odnośnie obecnego stanu ruchu związkowego w Stanach Zjednoczonych, dość powiedzieć, że organizacje pracownicze również nie spieszą się z udzielaniem poparcia Sandersowi. W listopadzie Związek Zawodowy Pracowników Sektora Usługowego (SEIU), który reprezentuje 2 mln zatrudnionych, mimo zażartych debat wewnętrznych opowiedział się po stronie Hillary Clinton. Dwa miesiące wcześniej to samo zrobiła Amerykańska Federacja Nauczycieli (AFT). Clinton ma w chwili obecnej poparcie 9,5 mln związkowców, a zatem 2/3 ich ogólnej liczby [5].

Istnieją, oczywiście, znaczące wyjątki: największy związek zawodowy pielęgniarek i pielęgniarzy National Nurses United liczący 180 tys. członków czy Amerykański Związek Zawodowy Pracowników Poczty (APWU), który skupia 200 tys. osób, opowiedziały się po stronie Sandersa. Jednakże największe centrale związkowe bardziej ostrożnie stawiają raczej na faworyta. Podobnie jest w przypadku większości struktur społeczeństwa obywatelskiego – zwłaszcza afroamerykańskich pastorów, cieszących się w swoich parafiach dużym posłuchem – niechętnych do podejmowania ryzyka. Clinton może spać spokojnie. Ciesząc się dużą popularnością, korzysta jeszcze na hałaśliwej kampanii Donalda Trumpa, która skłania wielu Amerykanów do opowiedzenia się raczej po stronie poważniejszej i bardziej wyważonej kandydatki. Nowi Demokraci zawsze byli w stanie zachować swoją dominację, przedstawiając się jako mniejsze zło...

Kampania Sandersa nie ma na celu ani przemiany Partii Demokratycznej od wewnątrz, jak chciał to zrobić Eugene McCarthy w 1968 r. czy George McGovern w 1972 r., ani też stworzenia lewicowej siły porównywalnej z „tęczową koalicją”,

która powstała w latach 80. ub. wieku wokół kandydatury Jessego Jacksona. Daje ona jednak milionom pozostawionych na uboczu okazję do zabrania głosu i domaganie się czegoś więcej niż polityki idącej po myśli Wall Street. Oto dlaczego słowa kandydata socjalisty brzmiały miło dla uszu wielu wyborców: przywraca on ideę, że państwo może przyjść najbardziej potrzebującym z pomocą pod warunkiem, że oprze się na ruchach społecznych zdolnych wyrzucić presję na siłach reprezentujących kapitał.

Choć w ostatnich miesiącach liczba aktywistów zaangażowanych w kampanię socjalistycznego kandydata nie przestaje rosnąć, to nadal nie przekracza kilku tysięcy. To niewiele w społeczeństwie liczącym 330 mln osób. Jednak może wcale nie potrzeba więcej, by przeszczepić lewicowe idee na grunt debaty publicznej i dać argumenty tym, którzy podświadomie czują, że „klasa miliarderów”, jak ją nazywa Bernie Sanders, nie jest bez wpływu na ich trudny los.

Znając charakter i historię Partii Demokratycznej, trzeba uznać, że udział w prawyborach w jej szeregach jest zuchwałą strategią. Lecz niezależny senator z Vermontu niewiele ma do stracenia, a może wiele zyskać, poczynawszy od nowego publicznego zainteresowania potężnym „słowem na s”.

Autorstwo: Bhaskar Sunkara

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

O AUTORZE

Bhaskar Sunkara – założyciel i dyrektor pisma i portalu internetowego „Jacobin” (Nowy Jork).

PRZYPISY

[1] Alex Nunns, „Jeremy Corbyn: nadzieja lewicy czy do odstrzału?”, „Le Monde diplomatique – edycja polska”, październik 2015.

[2] Wystąpienie na Uniwersytecie Georgetown, Waszyngton DC, 19 listopada 2015 r.

[3] Czyt. Loïc Wacquant, „Quand le président Clinton „réforme” la pauvreté”, „Le Monde diplomatique”, wrzesień 1996.

[4] „Bernie Sanders is thinking about running for president”, „The Nation”, Nowy Jork, 18 marca 2014.

[5] Brian Mahoney i Marianne Levine, „SEIU endorses Clinton”, Politico.com, 17 listopada 2015.